

tygodnik katolicko-narodowy dla stanu średniego.

W Poznaniu, dnia 6go Lipca 1877.

Wychodzi co Piątek.

Wydawca:
Tytus Daszkiewicz
w Poznaniu.

Przedpłata ćwierćroczna 3 złp. = 150 fen.,
pod opaską 3½ złp. = 175 fen.
Ogłoszenia po 15 fen. od wiersza drobnego.

Redaktor:
Jan Nep. Białoszyński
w Poznaniu.

Pojata, córka Lezdejki,

albo

Litwini w XIVtym wieku.

Romans historyczny

przez

F. Bernatowicza.

Po jednej stronie błyszczą świątyni szczyty
I szumią lasy, pomieszkania bogów,
Po drugiej stronie na pagórku wbity
Krzyż.

ROZDZIAŁ I.

Sen.

Ztąd bystra rzeka od miasta przecina
I z szumem pod most zapieniony bieży;
Ówdzie wielkiego dzieło Gedymina,
Dotyka nieba twierdzami i wieży.
Indziej to pola, to śliczna równina,
To się las bujny gałęziami jeży.
Prawdziwie, aby dom ten był wesoły,
Trzy się najmilsze zebrały żywioły.

Naruszewicz.

Wiek już dochodził od tej pory pamiętniej, gdy dzielny Gedymin, książę litewski, zmordowany raz polowaniem, z dworem i panami nad Wilią noc najpiękniejszą przepędzał, w tej samej kniei, w której mu przed chwilą udało się ubić ogromnej wielkości tura. Nie było to wprawdzie nadzwyczajną rzeczą, szczęśliwemi w tej porze pochlubić się łowy: lasy przepętnione zwierzem, i polowanie, jedyna rozrywka panów wszelkiej ku temu dostarczały łatwości. Ale tur Gedymina nie był prostym turem.*) Znany z piękności swych rogów, od dawna był celem czat i pościgów łowieckich; lecz ciągłemi niebezpieczeństwami wprowadzony do

ostrożności, z dziwną szybkością przenosząc się z jednej puszczy do drugiej, oszukiwał czujność najbieglejszych łowców, i bezużytecznemi czynił wszystkie ich zasadzki. Widząc nakoniec, że jego piękność zagubna uzbroiła nań całą prawie Litwę, jakby szukał śmierci z ręki najgłodniejszej, wpadł na oszczep Gedymina i legł u nóg jego bez życia.

Uradowany książę tak szczęśliwem polem, na miejscu zaraz kazał wspaniałą ucztę wyprawic. Była jesienna pora. — Zawieszone od jednych gałęzi do drugich kosztowne zapony, usłane zwierzęcemi skórami murawy, mnóstwo rozłożonych ognisk, psy, sokoły, łowczowie, kucharze i różnego rodzaju myśliwca drużyna, osobliwszy na dzikiej puszczy wystawiały obraz. Ożywiały go obfitość trunków, wesołość dworzan, a nadewszystko dobra myśl pańska. Rozmowy po większej części miały za cel sprawy dnia tego. Kto więcej ubił zwierzyny, komu tęższe dawał obroty tur ścigany, który psów rodzaj lepiej się zasłużył; przytém rozliczne uwagi i żarty były osnową wzajemnych powierzeń i często przesadnych dodatków, jak to zwykle między myśliwymi się zdarza. Wnosić należy, że i sen po dziennych trudach i wypróżnionych puharach, powtarzać je musiał w dziwacznej wystawie. Nazajutrz u śniadania, Gedymin pełen troskliwej myśli, marzenia swoje opowiadał przed dworem, obiecując znaczną nagrodę temu, któryby trafnie ich znaczenie wyłożył: sny bowiem w owym wieku uważane za przestrogi bogów, były wyrocznią najważniejszych spraw ludzkich. Śniło się zaś księciu, że widział wilka okrytego zbroją żelazną, a w gardle jego słyszał głosy stu wilków ogromnie wyjących. Tak dziwne marzenie w głębokie zadumienie pogrążyły dwór cały. Sadzili się panowie na różne wykłady. Jedni przepowiadając klęski powietrza, radzili wczesne przedsięwzięcie środków, drudzy wróżyli pomyślność następnych łowów, inni głosili wojnę; zgoła, każdy ciesząc lub przerażając, zdanie swoje objawiał. Lecz gdy żaden z dworzan nie był w stanie zaspokoić pana, zabrał głos mądry Lezdejko, wieszcz i arcykapłan litewski, zapewniając księcia, że sen jego odkrywa wolę bogów, żeby na tym miejscu, gdzie pod grottem jego poległ zwierz srogi, potężne stanęło miasto, którego sława i zamożność rozchodzić się będzie po całym świecie; wilk bowiem w żelazie, nie co innego — mówił — znaczy, tylko gród

*) Nie można jeszcze powiedzieć z pewnością, że starożytny tur jest to samo, co dzisiejszy żubr. Cokolwiekby, musiał niniejszy być osobliwszym w swoim rodzaju, gdyż, jak dzieje podają, rogi jego kazał Gedymin w złoto oprawić i zamiast pułhara w czasie bankietów używać; tak zaś wysoko ten zabytek był w domu książęciem ceniony, że wnuk jego, książę Witołd, godnym go darem osadził cesarza Zygmunta, i ofiarował mu go w upominku, gdy się na zjeździe monarchów w Słucku znajdował.

warowny, a głosy w nim wyjące, mnogość jego mieszkańców. Podobał się Gedyminowi takowy wykład snu jego; zaklaskał z radości w ręce, udarował wieszczą i niezwłocznie wydał rozkazy zakładania miasta.*) Natychmiast tysiące siekier łoskot roznosząc po puszczy, ruszyły zdziwionego zwierza z odwiecznych ich siedlisk; padały z trzaskiem stuletnie dęby i jodły; dzień jasny zajął nocy mieszkanie; a knieja zgonem tura pamiętna, przyjęła zakresy warownego zakładu. Taki jest początek Wilna, którego wzrost i wypadki, przeważnie należeć będą do osnowy niniejszej historii.

Przyznać należy, że Leczdejko nie mógł dać zbawienniejszej rady księciu, i słusznie w nazwisku potomków swoich, książąt Radziwiłłów, sławnych po wszystkie wieki w narodzie, zachował chwałę założyciela litewskiej stolicy. Posada też miejsca łączyła w sobie wszystkie dogodności, jakich tylko do wzniesienia grodu przezorny szuka zakładacz. Zdaje się nawet, że Leczdejko od dawna wiadomy położenia miejsca, wcześniej je przeznaczył na zakład warowny, i tylko sposobnej upatrywał chwili, żeby uwagę pana mógł ściągnąć na jego korzyści. Była to pobrzeżna spadzistość, z gór przyległych schodząca ku Wilii. Piękna, zielona równina, przeciągając się wzdłuż krętej rzeki, w pewnym zawsze oddaleniu trzymała te góry, które, okryte różnego rodzaju drzewami, pięknej różnaitości wystawiały obraz. Strumień Wilenka, wynikający z ich łona, rozłaczając swe wody po zielonej dolinie, i oddzielając ostatnią i największą z gór, która jakby strażnica jaka panować zdawała się całej okolicy, wpadał u jej podnóża do Wilii. Przyrodzenie, wznosząc w zbiegu dwóch rzek ten ogrom ziemi, przeznaczać go zdawało się koniecznie na zakład obronny. Na jej to wierzchołku legł tur Gedymina. Ale już nie dopiero znanym było to uroczysko. Smutne pogrzebne obrządki głośnym je z dawna po całej Litwie czyniły. — Jeszcze książę Świętoróg, przed pół wiekiem polubiwszy to miejsce, poświęcił je na zgłiszczą*) zeszyłych książąt i wodzów, i sam się tam pierwszy pogrzebać kazał. Gdzie dziś piękna dolina w okrag góry zamkowej, zroszona wodami Wilenki, służy na miejsce przechadzki, tam przed sześciu wiekami palono na stosach ciała mężów zasłużonych Ojczyźnie, i popioły ich w drogich naczyniach na przyległych górach grzebano. Smutne to ustroenie, naprzód *Krzywicy-doliny*, potem *Świętoroża* wzięło nazwisko. Ciągnął się po nad Wilią szereg ostrych kurhanów*), które pokrywały drogie książąt szczątki; z najwyższej góry panował nad niemi wykuty z kamienia bóg Krystnos, opiekun umarłych; a mała w pobliżu jaskinia mieściła w sobie kapłany i ofiarniki, którzy wykonywali ciepłopalne obrządki, i strzegli uszanowania pogrzebanych popiołów.

Tak więc na górze, Turzą odtąd zwaną, gdzie dziś ostatki starego zamku dają się widzieć, powstała naprzód obronna wałami twierdza, która, wznosząc swe baszty nad okoliczne lasy, uwiadamiała ludy litewskie o tym nowym ich pana zakładzie. Troki w tej porze były

zaszczycone panującego księcia mieszkaniem. Odległe o cztery mile od Wilna, ludne i zamożne, ułatwiały pośpiech nową budowy i dostarczały rzemieślnika. Kiedy już górna twierdza była na ukończeniu, Gedymin kazał założyć pomniejszy drewniany zamek na dole, tam prawie, gdzie dziś wznoszą się mury zbrojowni. W kraju i wieku, w którym wiejskie osady tak były rzadkie, jak dziś są miasta, zakład nowego grodu musiał być podziwem rozproszonych po lasach mieszkańców. Każdy biegł widzieć powstające na rozkaz bogów miasto, każdy się przykładął do wzniesienia murów i siedlił się w Wilnie tém chętniej, że ogłoszone mieszkańcom swobody, uwalniały ich od wielu ciężarów, które w innych osadach znosić musieli. Tak wytrzebiona z lasów przestrzeń, wkrótce okrywać się zaczęła różnego kształtu domami, które w początkach lubo nie poczesne, przecież już jakąś kolwiek temu zakładowi postać miasta nadawały. Dopiero, gdy Gedymin coraz bardziej podobając w Wilnie, na ciągle mury jego zamieszkał, zaczęło się miasto w ozdobniejsze stroić budynki, które służba księcia, urzędniki i kupcy ku swojej stawiali wygodzie. Odtąd nie było dnia, żeby się ludność jego nie powiększała. Tym sposobem w przeciągu lat kilkunastu stolica Litwy z Trok przeniesioną została do Wilna.

Obyczaje Litwinów w tej porze jeszcze nie były pewnie na tym stopniu poloru, na jakim je postawiło Chrześcijaństwo zaprowadzenie; nie miały już jednak dzikości początkowych swych wieków. Skrapianie gajów świętych krwią jeńców, używanie ich do pociągu ciężarów, kępowanie winowajców do drzew na puszczy, przeznaczonych na pastwę drapieżnego zwierza; te i tym podobne dzikości należą do wcześniejszych czasów. Gedymin, potężny samowładzca obszernego państwa, znany już był Europie, nie tylko jako sławny wojownik, lecz jako i niepospolity polityk. Już dawno znajomość żelaza w zarzucenie puściła pancerze z kopyt końskich składane, a rohatyny kością lub ostrym uzbrojone kamieniem, ustąpiły miejsca włóczniom, opatrzonym hartownym żelazem. Miecz był pospolitym orężem, nawet broń ognista nie była już cudem. Ludy litewskie, po większej części rozproszone po lasach, w budach korą lub darnem pokrytych, nie mogły mieć zapewne, jak tylko słabe wyobrażenie o pożytkach społeczności; lecz książęta na zamkach i supany*) w swych dworach, pełne przepychu i wytworności prowadzili życie. Nawy morza Bałtyckiego w zamian bursztynu i skór zwierzęcych, dostarczały im wszystkiego, co tylko rękodzieła ucywilizowanych narodów zaleconém czyniły; gdy z drugiej strony brzegi morza Czarnego, blizkie Ukrainy, Podola i Wołynia, do Litwy wtedy należących, za miód i futra opatrywały ich najdroższym wschodnich narodów wydatkiem. Tak więc nie było rzeczą nadzwyczajną, dom miernego pana widzieć ozdoby w bogate sprzęty, kosztowne obicia i zamożny we wszelki dostatek; kiedy leśny mieszkaniec, skórą niedźwiedzia lub turzą okryty, mało z pozoru różnił się od tych zwierząt, wśród których mieszkając, z ich połowu wszystkich swych potrzeb ciągnął opatrzenie.

*) Ztąd pono przysłowic: „Prawie jak o wilku żelaznym.“

*) Zgłiszczą, tak się zwały miejsca, na których ciała palono.

*) Kurhany, wysokie mogiły, na pamiętkę rycerzy sypane.

*) Supani, tak się nazywali możniejsi panowie.

Religia litewska, biorąca początek z potrzeb i dolegliwości człowieka, z jego stosunków i skłonności, mnóstwem go bogów darzyła. Świętość ich trojakiemu była stopnia. Jedni na górach lub nad wodami, na pniach i słupach wzniesieni, cześć odbierali publiczną; drudzy byli płodem wyobrażenia, inni nakoniec domowi, byli szczególnych rodzin i włości opiekunami. *) Charakter ludu, dotąd jeszcze dochowujący swe cechy, które go różniły od innych narodów, odznaczał się szczególniejszą pokorną uległością starszym, żywem uczuciem piękności natury, szczērą pobożnością, miłością bliźniego i nieograniczonem przywiązaniem do ziemi rodzinnej. Dotąd jeszcze wieśniak litewski z szczērą uniżonością cześć oddaje swoim starszym i przełożonym; każde jego z domu oddalenie się tęskne w nim rodzi uczucia, pobożność jego jest gorliwą i rzadsze są tam przykłady złych obyczajów i niemoralności. Początkowe dzieje tego narodu wszędzie postrzedz nam dają, że wódz jego, prowadząc swą rzeszę, lub na łowach znajdując się, uderzony nagle pięknnością miejsca, obierał je na swój przybytek, ozdabiał znakiem, i wszystkie łożył starania na jego upiększenie. Dawni przed Świętorgiem książęta, przy schyłku lat objężdżali swe kraje, szukając położenia najrozkoszniejszego, gdzieby wieczny sobie obrali spoczynek. Uroczyska gruzami zamków i świątyń sterzące, góry, na których ciepłopalne składano ofiary, zwykłe się pięknym w okrag weselą widokiem, i zawsze je sąsiednie jezioro lub rzeka ożywia. Święte gaje, oddychające rozkoszą, czyste zdroje, w rzedzie bogów mieszczone, i każdej porze roku właściwe święta i uroczystości, są jawnym dowodem, że dusze dawnych Litwinów na wdzięki przyrodzenia obojętnymi nie były. Rzeźka wesołość towarzyszyła ich zajęciom i pracom, i tak im była wrodzona, że chwała nawet bogów tańcami i śpiewem obchodzoną była. W poranek do rocznej uroczystości, pod drzewami poświęconych gajów, lub na łąkach świętymi wodami zroszonych, lud w gromady zebrany, pod naczelnictwem wajdelota, to jest kapłana okręgu, biesiadując i śpiewając, niebu składał ofiary.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Na pamiątkę wstąpienia na tron Apostolski

Ojca św. Piusa IX.

w Czerwcu 1846go roku

przez

Zygmunta Krasńskiego.

W Czasie znajdujemy poniższy wiersz, ogłoszony pierwszy raz dopiero w tém piśmie. Utwór ten jednego z pierwszych poetów naszych, przepowiadający przyszłość, podajemy niniejszym:

Przepasana złotą szarfą,
Siedmiobarwną równą tęczą,
Siostró moja! wynidź z harfą,
I niech hymn twój dziś rozdzwięczy.

*) Obszernie o tém Naruszewicz w Mitologii Słowiańskiej. Ilust. Nar. Pol. T. I. Cz. II.

Pieśnią twoją, słodką, cudną,
Spływającą, jak woń kwiatu,
Napełń ziemię tę wszechludną,
Dzień radości ogłoś światu.

Z Alpów szczytu, z nieb błękitu,
Na odległe zwiastuj końce,
Że już przeszedł czas Przedświtu,
Że już całe weszło słońce.

Kojącemi bóle słowy,
Krzep nadzieję w ludzie Polskim,
Gdyż namiestnik Chrystusowy,
Siadł na tronie Apostolskim.

Chylę czoło, dzięki składam,
Rozczulenie oko łzawi,
I zaprawdę ci powiadam,
Że on Matkę naszą zbawi.

Już nie walką o byt krwawą,
Morderczemi zbrojną godły,
Odzyskamy nasze prawo,
Lecz przez święte Jego modły.

Przyszły dnie zapowiedziane,
Prawdy ziszczą się odwieczne,
Że nie nie temu będzie dane
Tu zwycięstwo ostateczne,

Kto przyzwawszy zło do spółki,
Uzbroił się w mur puklerzy,
Otoczył mnogimi pułki,
Ale temu, kto uwierzy.

Napełnioną żołąć czasu,
Wypiliśmy siostró do dna,
I zbawienie w tém jest nasze,
Przyszłość świeci nam pogodna.

Niechaj gromy cię nie trwożą,
Srogie burze i zawieje.
Gdyż idziemy z wolą Bożą,
Mamy ufność i nadzieję.

Wypłyniemy z ciemnej nocy,
Którą Pan nam zesłał w gniewie,
Tylko czas jest w Jego mocy,
I ostatnich chwil nikt nie wie...

Zagadki.

I.

Wiek XVII, tak pochopny do pióra, tak obfity w wierszowane ucinki, lotne koncepta, cięte satyry i pamflety polityczne, odznaczające się zwykle jaskrawością słowa i kolorytu, w czterech szczególniejszych odstępach czasu więcej niż zwykle folgował temu zamiłowaniu do papierowej utarczki.

Gorączka do pisania wzrastała zawsze w miarę doniosłości wypadków czy katastrof politycznych. Gdy w narodzie zawrzały waśń i walka, gdy naprzeciw sobie stanęły groźne wrogi stronnictwa, wówczas jedna i druga strona przemawiała przez usta swoich pisarzy, którzy zwykle bezimiennie, w formie satyrycznej lub humorystycznej wojowali z przeciwnikiem. Dowcipny i zręczny wierszopis bywał wówczas nader poszukiwanym, bo czasem jeden dobry, a do wypadków trafnie, zastosowany czterowiersz działał więcej i skuteczniej, niż uczone i głębokimi argumentami najeżone rozprawy, długie wywody i olbrzymie memoryały; bo tam ten brzmiał w ustach wszystkich i do serdecznego

śmiału pobudzał, a te z obawy przed nudami, rzadko kiedy w całości bywały czytane.

Od takich okolicznościowych autorów roilo się w Polsce na samym zaraz początku XVIII wieku, podczas wojny szwedzkiej; w porze bezkrólewia po zgonie Augusta II, od elekcji Stanisława Augusta aż do r. 1772, głównie zaś za konfederacji radomskiej i barskiej — wreszcie od początku sejmu czteroletniego, aż do ostatniego rozbioru. Były to prawdziwe żniwa dla okolicznościowej muzy i jej reprezentantów. Imiona ostatnich nie przejdą do potomności, bo każdy z nich popełniwszy jakiś złośliwy utwór, zacięrał za sobą starannie wszelkie ślady, aby przez interesowanych nie być pociągniętym do odpowiedzialności, lub, co gorsza, nie doświadczyć na sobie doraźnego odwetu.

Nic na tém zresztą nie traci historia; z małym bowiem wyjątkiem, domorośli ci poeci nie wznoszą się nad poziom mierności i dziś niktby ich nie odgrzebywał z niepamięci, gdyby jako wierne odbicie w daną chwilę zapatrywań pewnego stronnictwa, nie zasługiwali na uwagę historyka i myśliciela. Nieudolność formy w ich płodach tkomaczy się niskim stanem współczesnej oświaty. Literatura polska po przydłuższym zastoju, zakwitła jak wiadomo, dopiero w drugiej połowie stulecia, a i wtedy znakomitszych pisarzy można było policzyć na palcach, do pióra zaś rwał się każdy, nie mając często ani talentu, ani pojęcia o pierwszych prawidłach sztuki pisarskiej, podobnie, jak w gazetach i pismach peryodycznych.

W porze sejmu wielkiego widzimy naród nierównie wykształcenijszym i dojrzalszym, tak pod innemi względami, jak i literackim. Dwudziestokilkoletnie rządy światłego i o rozwój literatury troskliwego króla, przyniosły požądane owoce; promienie bijące od dworu i jego otoczenia, rozchodziły się po całym kraju i rozpraszały ciemności, jakie zalegały Rzpltę za panowania Sasów.

To téż i muza okolicznościowa odmienną teraz przybiera postać; z niedołężnej, grubej i nieokrzesanej staje się zręczną, poprawną, a często i wykwinną; niekiedy udérzy cię nawet tak niezwykłym zwrotem, że w autorze odgadujesz głośnego literata, których nie brakło wówczas wśród troskającego się o naprawę Rzpltej społeczności.

Udało nam się niedawno znaleźć wśród rękopisów Zakładu Ossolińskich jeden z najciekawszych i najważniejszych pomników literatury satyrycznej z XVIIIgo wieku, nieoceniony jako wyraz opinii przeważnej większości ówczesnego myślącego i patriotycznego ogółu, pod znaczącym tytułem; „Zagadki i odpowiedzi na nie, zamykające w sobie charaktery lub intrygi wszystkich biskupów, wojewodów, kasztelanów, ministrów, posłów i niektórych kobiet, roku 1790go wydany”.

Rzecz ta nie była i z powodu wielu zbyt drastycznych ustępów nie mogła być ogłoszoną drukiem; dostrzymuje zaś wszystkiego, co obiecujący napis zapowiada i jest może najbarwniejszym, najbardziej urozmaiconym pamfletem polskim z ubiegłego stulecia. Godzi się przeto z pominięciem rzeczy słabszych i jaskrawszych zapoznać się z treścią *Zagadek*, jako z cennym przyczynkiem do historyi obyczajów z pory czteroletnie-

go sejmu, i zajmującą ilustracją do dziejów politycznych.

Najslabszym z całego pisma jest niewątpliwie wstęp do *Zagadek* i pierwsza z rzędu, mówiąca o ojcu i synu swojej matki, to jest ojczyzny, Stanisławie Auguste. Pierwszy ten ustęp jest tak błądliwy i nie mówiący, że możemy go spokojnie opuścić, ograniczając się na wzmiance, że autor przedstawia króla jako poprawionego i pojednanego z narodem winowajcę. Druga zagadka, poświęcona księciu prymasowi, Michałowi Poniatowskiemu, niezupełnie dziś dla nas zrozumiała.

Twarz blada, strój czerwony,
Partyzant moskiewskiej strony,
Bale daje sam nie skacze,
Tylko na poddaszu płacze...

W r. 1790 jak wiadomo, nie zasługiwał prymas na sąd tak surowy, ale większość sejmu, ożywiona sympatjami pruskimi, miała mu za złe energiczną mowę przeciw sojuszowi z Prusami, i ztąd uważała go za oddanego duszą i ciałem Rossyi.

Po naczelniku polskiego kościoła następuje orszak biskupów. Ks. Józef Rybiński, biskup kujawski, nieszczególniej w narodzie zażywał reputacyi:

Nadto skąpy dla kraju, dla kobiet wspaniały,
Na oko patryota, sercem Prusak cały
Ma niektóre przymioty, lecz temi niestety!
Niewdzięczny dla tój, co nań wdziała fiolety.

Antoni Onufry Okęcki, biskup poznański, był zannym człowiekiem, wzorowym i pobożnym kapłanem, zasłużonym nie mało, około Kościoła i gorliwym jego obrońcą. W tém tylko zawinił że nie lubiąc polityki, i nie znając się na niej, przyjął tak wysoki urząd, jak w. kanclerstwo koronne, i przez pięć lat je sprawował; oddał je dopiero krótko przed wielkim sejmem (w r. 1786). *Zagadki* odzywają się o nim dość pobłażliwie:

Choć nie ma swego zdania, ale jest pocziwy,
Nie tyle on roztropny, ile uporeczywy.
Dom jego jest bawiący, dla wszystkich otwarty,
W którym księży żałują, grając z nimi w karty...

Oślawiony Massalski, biskup wileński, doczekał się arcy-złośliwego przycinku:

W uściech cnota, w sercu zdrada,
O ojczyźnie zawsze gada.
Siedzi blisko przy tronie,
Fiolet w robronie...

I Krzysztof Hilary Szembek, biskup płocki, współpracownik Andrzeja Zamojskiego przy redagowaniu statutu, jedyny z Polaków nuncyusz papieżki w Polsce, (1783—1784), przez Bartoszewicza stawiany bardzo wysoko, tak pod względem rozumu, jak charakteru, niewątpliwie jeden z najuczeńszych ludzi swego czasu, poddany tutaj nader surowemu sądowi:

Wiecej fałszu, jak wzrostu,
Gada niby po prostu.
Patriota czuły,
Do wakującej infuły!

Książe biskup warmiński, pierwszy już wówczas na całą Polskę pisarz, lekko traktowany przez pamflicistów z czasu konfederacji radomskiej, tu zbyt ogólnikową, lecz pełną względności wzmianką:

Z pism swoich w kraju znany,
Biskup zakordonowany,
Chociaż się przed nami chowa,
Wzdycha jednak do Krakowa.

Dlaczegoż do Krakowa? czemu raczej nie do Warszawy? — zapytujemy. Czyżby Kraków stał tu tylko dla rymu? lub czyżby w istocie dla autora *Monachii* miał więcej powabu od świetnej rezydencji królewskiej i stolicy całego kraju?

Turski, biskup łucki, wynoszony pod niebiosą dla niezrównych przymiotów przez współczesnych panegirystów i nowszych biografów, w *Zagadkach* przedstawia się zupełnie inaczej:

I to patryota rzadki,
Co z sprawy o śmierć mężatki
Dziś w dobra ziemskie bogaty...

Jaka to sprawa wzbogaciła tak biskupa niewiadomo.

Zdaje nam się natomiast, że Maciej Grzegorz, Garnysz, podkanclerzy koronny, biskup chełmski, nie zasłużył na tak surowy wyrok, jaki go w *Zagadkach* spotyka. Gorliwy i miłośniwy kapłan, w zapędzie dobroczynności zapominający częstokroć o sobie, nieustający w pracy około dobra publicznego, członek komisji edukacyjnej i naczelny zarządca biblioteki Żałuskich, godzien zaprawdę pobożniejszego sądu. Śmierć nawet podobno poniósł (6 października tegoż roku) z poświęcenia dla bliźnich, bo lubo „tabacznik zapamiętał”, nie wahał się pójść w zakład na korzyść trzecich osób, że przez cztery tygodnie zażywać nie będzie. Dotrzymał zobowiązania, ale wstrzemięźliwość ta rzuciła go na śmiertelne łożo. Oto co o nim piszą *Zagadki*:

Wysuszony jak stokfisz, a jak zmore bład,
Za to, że na zniszczenie Warszawy dał rady,
By ją ciężkim nałożyć koszarowym podatkiem.
Udarowan trzydziestu tysiącami datkiem.

Złośliwy cel aż nazbyt tu widoczny; lecz nieuważna. Nie miał mu śnać satyryk nie innego do zarzucenia, skoro szydzi z niego, że suchy i bład, boć to nikomu nie uwłacza. Co dalej biskupowi poczytuje za winę, należy raczej policzyć do rzędu zasług. Aż do roku 1784 rozłożone było wojsko koronne po domach prywatnych, na przedmieściach warszawskich, podczas gdy wszystkie inne stolice europejskie miały osobne gmachy dla swej siły zbrojnej. To też król postąpił sobie bardzo rozumnie, ustanawiając w roku 1783 komisją lokacyjną, która rozłożyła na domy mieszczan podatek, dla zebrania potrzebnego na koszarę funduszu. Garnysz mianowany prezesem komisji, tak energicznie zabrał się do dzieła, że do r. 1785 stanęły już dwa gmachy: jeden dla artylerji, drugi dla gwardji pieszej koronnej. Był to zaprawdę raczej tytuł do wdzięczności narodu, niż powód do złośliwych przekąsów.

Na grobie Pauliny z Łanczów Wilkońskiej.

Z cnoty i pracy — żyć będzie na wieki! —
Bóg tu na ziemi tchnął w nią ideały —
Dziś ziemi polska jej kryje powieki —
Duszę anioły w Niebie powitały.

Kobieta! — wielka! z wiecznej Bożej myśli,
Ku pocieszeniu smętnego narodu,
Z krwią przesiąkniętego polskiego ogrodu,
Kwiaty nadziei na ksiąg kartach kręśli!

Zgasła?! — o! żyje!! — w wielkiej kiedyś chwili,
Wierzymy — ujrzymy jej promienne czoło —
Wzrokiem obejmie świat polski w około,
Ku Stwórcy całą duszą się pochyli,
I tam — u tronu wszechmocnego Boga
Wyprosi dla nas kajdany — na wroga.

dnia 12. 6. 75.

O rycerskim owczarku,

przez
Jana Kupca.

(Dalszy ciąg.)

Jak po ciężkim grzmocie zatrzęsie się ziemia, tak cała góra się zatrzęsa, gdy ten straszny potwór ruszył się. Na ten objaw zadrżało serce męznego rycerza i byłby może zachwiał się w przedsięwzięciu, gdyby nie koń jego, który na widok smoka zarżał i nogami zaczął tupać, chcąc przez to pokazać swą chęć do walki z bestją. To mu dodawało odwagi. Pędem skoczył ku smokowi i zaczął rąbać szablą. Ale trudna to była sprawa, bo smok, nie tylko, że był ogromny, ale miał on siedem głów, a co jeszcze bardziej go przeraziło, to to, że odcięte łby napowrót przyrastały. Ze siedmiu paszczy buchał ogień, który go bardzo raził. Ogonem, który na kilkanaście stóp był długi, tak silnie walił, że zwyczajny koń od jednego uderzenia byłby zabity. Ale jego koń wytrzymał to wszystko i ani razu nie zadrżał, owszem trawował smoka nogami, przez co wiele dopomógł rycerzowi do ucinania łbów. Długo trwała ta walka, a nasz rycerz co raz to bardziej słabnie, gdyż od ognia, który z paszczy smoka wybuchał, jako też od jadu, który nań przyskał z odciętych głów, tak był zemdlny, że już ledwo na koniu się mógł utrzymać. Królewska rodzina w największej trwodze o rozstrzygnięcie walki, wśród modłów przypatrywała się. A gdy już ostatnich sił dobywał i blizkim był zwątpienia, wtedy wspomnił sobie na swego opiekuna i w duchu polecił się jego modlitwie. Zaraz też nowa otucha weń wstąpiła, zebrał wszystkie siły w kupe; koń zaś jego z całą natarczywością wszystkiemi czterema wskoczył na smoka, co rycerz widząc, ciął z całej siły i naraz odpadło siedem łbów. Smok żyć przestał, ale i nasz rycerz od wielkiego zemdlenia padł na ziemię z konia.

Z szybkością, jaką tylko człowiek wykonać potrafi, przyskoczyła królewska rodzina na jego ratunek, za nią także i służba i lekarz, który każdym razem z niemi był. Podniesiono go ze czią, zaniecono do powozu królewskiego, a lekarz zajął się czempredziej trzeźwieniem go. Jak długo bez przytomności zostawał i co się przez ten czas z nim działo, nie wiedział, a gdy zmysły odzyskał, ujrzał się w karecie w objęciach królewnej.

— O jak dobrze spałem — przemówił rycerz.

— Ej, nie spałeś, waleczny rycerzu, nie — odpowiedziała królewna — było to spanie, które czło-

wieka na drugi świat wyprawia, a tylko cudem Bożym i zdolnością naszego lekarza obudziłeś się.

Tu całe zdarzenie opowiedzieli mu, gdyż on nie nie wiedział. Teraz dopiero przypomniało mu się, co przed niedługim czasem robił. Po zażyciu lekarstw odzyskał zupełnie dawniejszą siłę. Oświadczył im, że czas wielki mu oddalić się, gdyż bardzo pilny interes nie pozwala mu dłużej bawić się. Gdy te słowa wymówił, cała rodzina królewska niezmiernie się zasmuciła, a król mu wręcz odpowiedział, że go nie puści, owszem gwałtem go zabierze z sobą, przytém obiecywał mu dać swą córkę za żonę, a z nią całe królestwo.

— To być nie może — odrzekł rycerz — ja muszę precz, a gdybyście mnie gwałtem zabrali, to wiedźcie, iż mnie nieszczęśliwym uczynicie.

Widząc król, że to być nie może, dał wreszcie pozwolenie, ale go gorąco prosił, aby, skoro będzie mógł, przybył do niego. Królowa zaś zdjęła drogi pierścień ze swego palca i ten mu dała z tą prozbą, żeby, ile razy na ten pierścień spojrzy, wspomniał o niej. I tak z wielkim płaczem pożegnali go. On też niebawem wsiadł na konia, który go na krok nie odstąpił — i odjechał.

Królestwo też i z radością i razem ze smutkiem do swego pałacu pojechali, bo choć się cieszyli z wybawienia jedynj córki od śmierci tak okropnej, to jednak z powodu oddalenia się ich wybawcy, zwłaszcza gdy nawet imienia jego i żądaby był nie wiedzieli, smutek w ich serca wstąpił.

Ale wróćmy się do naszego rycerza. Otóż po oddaleniu się od królestwa wnet w zaklętym zamku stanął. Tam dzielnego konia na dawnym miejscu postawił, ubiór rycerski i zbroję złożył z siebie, ubrał się w swe pasterskie odzienie i śpiesznie do mieszkania swego opiekuna pobiegł.

Któż tu wypowiedzieć zdoła, z jaką radością przyjął i powitany został. Więcej, niżby to własny ojciec swemu dziecku uczynić mógł. — „Szczęśliwy jesteś mój drogi synu!” — zawołał ów leśny człowiek. — „Szczęśliwym masz jeszcze i mnie uczynić. Odnaczyłeś się wielkim męstwem i odwagą, ale jeszcze raz odwagi ci potrzeba będzie — a wtedy i mnie wybawisz, o tem jednak dziś byłoby za wczesnie ci powiedzieć. Spodziewam się jednak, że tak do końca mi powolnym pozostaniesz.”

Po wielu rozmowach, gdy już dzień się chylił do końca, nasz owczarek zabrał swoje owce i popędził do dworu. Tu zastał wielką wesołość: muzykanci sprowadzeni grali skoczno, służba ochoczo tańczyła na dworcu, panowie zaś i panie po ozdobnych salach suwali. Nieto zapomniano tu i o jadłach i o piciu: półmiski z wykwinutymi potrawami, jako też puhary z wybornym winem obiegały po stołach; nie zapomniano też i o sługach: każdy dostał, ile mógł spożyć. Nie pominiono i owczarka, bo i temu dano dobrą porcję, żeby i on miał okazję cieszyć się z wybawienia królowej. On też jadł, pił i tańczył jak drudzy, ale ani słówkiem nie zdradził sekretu, że on ją wybawił.

Przeszły wreszcie uciechy, pominęły tańce i każdy patrzył dalej swego powołania. Król też zajął się u-

porządkowaniem kraju. Dla biednych podatków umniejszył, żeby i ci cieszyć się z nim mogli. Kościoły stawiał na chwałę Bożą, szkoły zakładał, żeby młodzież mogła się doskonalić w naukach: bo wiedzieć trzeba, że przedtem dla tej plagi nikt o naukę nie dbał, gdyż każdy lękał się skoro nań los padnie być przeznaczonym smokowi na pożarcie. Teraz wszystko się zmieniło.

Kilka tygodni, a nawet miesięcy, upłynęło po zabiciu smoka. Król każdy dzień wygląda, jeżeli wybawca zgłosi się po nagrodę, z którą oraz i ręka królowej przyrzeczoną była — ale darmo, wybawca się nie znajduje. On, jako szlachetny człowiek, chciałby go koniecznie wynagrodzić, a chodziło mu i o to, żeby po swęj śmierci godnego następcę zostawić. Jednak, mimo wszelkich oczekiwań, nie przybył. Dowiadywał się od różnych osób, czyli o takim nie wiedzą — nikt mu tego powiedzieć nie mógł. Królowa się ztąd bardzo smuciła: bo choć się różni książęta i rycerze o jej rękę starali, to ona każdemu odmówiła, bo tylko rycerz w złotej zbroi, który ją wybawił, jej się upodobał; na jego przybycie czekała, nawet w nocy marzyła o nim.

Kiedy już wszelka nadzieja była stracona, żeby się sam zgłosić mógł, król postanowił gwałtem go sprowadzić. Na ten cel — jednak o znaczeniu tegoż zamieślał — kazał rozpisać listy do wszystkich rycerzy w swym kraju, żeby na wyznaczony dzień wszyscy, bez żadnej wymówki, do niego przybyli. Zaprosił także i w sąsiednich krajach książęta, a oraz ich prosił, żeby i podwładnych sobie rycerzy z sobą zabrali. Myślał, że na ten sposób swego celu dopnie, że kiedy wszyscy rycerze się zjadą, to między niemi musi być i ten, który smoka zabił.

Przyszedł naznaczony dzień. Zewsząd zjeżdżają się rycerze, to na wozach, to inny znów na koniach; książęta zaś z innych królestw z wielką okazałością, w poczcie licznych rycerzy. Zjechało się ich kilkanaście tysięcy, jakto nieprzymierzając na elekcyę pod Warszawę, za czasów Rzeczypospolitej Polskiej. Król sprowadził mnóstwo kucharzy, sprowadził dużo potraw i napojów, żeby wszystkich po pańsku uraczyć. Liczne kapele przygrywały w wystawionych na ten cel szopach, bo w pałacu nie można było wszystkich pomieścić. Każdy z rycerzy podziwiał piękność królowej, i każdy by rad z nią tańcować, ale ona z nikim iść nie chciała, bo chodziło jej o to, żeby swego wybawcę odnaleźć, a ponieważ tak wiele gości było, to też dość czasu upłynęło, nim każdego z osobna obejrzyć mogła. I król i królowa śledzili za nim. Żeby zaś mieć łatwiejszy przystęp do tego, wypytywano się każdego o imię i nazwisko, jako też i o pochodzenie. Wszystkie jednak zabiegi nie odniosły pożądanego skutku; rycerza, który smoka zabił, nie znaleziono. Nowy smutek napełnił ich serce, bo stracili już wszelką nadzieję odszukania go. Ale wróćmy się do znanego nam owczarka, na którego nikt nie zważał, choć właśnie pod okiem był.

Przez cały czas nic się u niego nie zmieniło; każdy dzień był zajęty swojemi owcami; to była jego służba. Nie pisał on je nigdzie indziej, jak w znajo-

Pamiętniki Starego Żołnierza

napisane przez
Białyniaka.

(Ciąg dalszy.)

mym nam lesie. Tam całe dni z swym opiekunem przepędzał. Od niego dalsze kształcenia pobierał, i wiele jeszcze nowych i ciekawych rzeczy się dowiedział. A że owemu leśnemu człowiekowi nie tajem nie było, to też on wiedział na co ten zjazd u króla, a chcąc swego wychowawcę uszczęśliwić, nauczył go jak ma sobie postąpić w obec tej wielkiej uczty. Owczarek, jak zawsze, tak i tą razą, wszystko najakuratniej wykonał.

Kiedy już parę dni upłynęło, jak uczta się zaczęła, i każdy z gości ucieszył się do woli, to też i przestano tańców, a każdy z gości rad był trochę wypocząć. Szczodroblisi panowie, dawali służbie dworskiej różne podarunki, to w pieniądzach, to w innych kosztownościach. Nasz owczarek, o którym wszyscy zapomnieli, przyszedł przed króla i prosił go, żeby mu było wolno na swę harfę gościom zagrać, żeby tym sposobem mógł sobie co zarobić. Król chętnie na to pozwolił, napominał go owszem, żeby pięknie grał. Sam go jeszcze zaprowadził przed gości i im go przedstawił. Wywiązał się też owczarek ze swego zadania, bo każdy jego muzyki z zajęciem słuchał; tak się każdemu podobała. To też hojnie sypnęły się złote pieniądze do czapki w nagrodę. Nie pominął też i króla i królowej, a w końcu i przed królową grał. Król i królowa także dorzucili kilka sztuk złota, a gdy królowa takż sam podarunek dać chciała — nie przyjął. Zdziwiona królowna, pyta się, coby żądał za to, kiedy pieniędzy wzięść nie chce? Śmiało odpowiedział, że sobie tego życzy i za najszczęśliwszego z ludzi uważać się będzie, jeżeli królowna raczy z nim z jednego kubka wino pić. Było tego trochę za wiele, żeby biedny owczarek z królewską córką razem z jednego kubka pić miał, ale dobra królowna przychyliła się do jego prośby, zwłaszcza że jej się taka śmiałość otwarta, a przytęm i postawa jego podobała. Nalała więc do złotego kubka wybornego wina, upiła nieco i podała mu; on wypił do połowy i na odwrot podaje królownej, a w tē niespostrzeżenie wpuszcza drogi pierścień, który od niē w lesie otrzynał, do kubka. Królowna wzięła podany jej puchar i pije, a wtēm uczuła coś twardego w ustach. Złękla się nieco, ale jakież zdziwienie ją ogarnęło, gdy wyjęty z ust pierścień poznała, że to ten sam, który przed kilka miesiącami dała rycerzowi w złotej zbroi. Wpatruje się pilnie w twarz owczarka i poznaje po rysach twarzy tego samego, który ją od śmierci wybawił. Zdumieni się wszyscy nie mało, gdy królowna krzyknęła: — To mój wybawca! — a wtēm rzuciła mu się na szyję, czule go objawszy. Od wielkiej radości rzesiste łzy popłynęły jej z oczu. Król i królowa też przyskoczyli i ujęli go za ręce serdecznie, bo i oni go poznali być wybawcą. Teraz stanowczo król mu oświadczył, że go nie puści więcej od siebie. Na co mu on odpowiedział, że jeszcze na jakiś czas oddalić się musi, a potē sam przybędzie.

Król zwołał wszystkich gości i powiedział im tę radosną nowinę; przytēm powiedział im cel ich zjazdu, podziękował uprzejmie i pozwolił odjechać im do domów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zajeżdżamy tedy do miasteczka, którego święte imię jest *Poczajów*, a które jest dość bogate i porządnie zabudowane, z powodu codziennych i wielkich odpustów. Jest ono ze wszystkich miejsc świętych w tamtych okolicach najśławniejsze, gdyż z bardzo dalekich stron schodzą się tu pobożni pielgrzymi, pątnicy i rozmaite kompanie.

Było ono niegdyś własnością Firlejów, lecz późniē przeszło w ręce Potockich, z których najgorszym był właścicielem wojewoda Kaniowski, ten psotnik i tyran!... Ten gdy razu pewnego zjechał do Poczajowa na mieszkanie, widząc, że tu jest ogromna moc żydów, chciał ich trochę przeczłodzić. Chcąc sobie zrobić igraszkę, kazał swym kozakom nazwoływać żydowskich bachorów, upoić ich wódką i na drzewa posadzać, aby wołali: kuku! a on wtę brał w ręce strzelbę jedną po drugiej, które mu słudzy nabijali i strzelał do tych żydziaków. W ten sposób zabił przeszło 20, a więć niż 30 poranił. Wskutek tych ran wiele potym pomarło.

Za miastem na wysokości górze stoi monastyr, czyli klasztor księży Bazylianów (z reguły św. Bazylego, po rusku: światło Wasylja), obwiedziony murami, fosami okopany i palisadami obstawiony na kształt cytadeli. Przy tē monastyrze połączoną jest bardzo wspaniała świątynia (cerkiew' ritus graeci) o trzech kopułach miedzią pokrytych i czerwono pomalowanych pokostem. Ta cerkiew' panuje na całą okolicę, tak że ją z trzech stron o trzy mile doskonale widać, gdyż z czwartęj strony bór duży sosnowy zabrania jej widoku. Tam tedy zajechaliśmy i stanęliśmy gospodą w najpięrszēj austeryi, gdyż tam prawie w każdym domu przyjmują podróżnych na noc, lub czasem dni kilka, za opłatą, ponieważ w każdym domu jest szynkownia.

Tak jak w Polsce pobożni pielgrzymi idą do Częstochowy, w Litwie do Ostrobramy, lub w Prusach do Świętoliłki, tak też wielkie i częste z różnych stron schodzą się kompanie pielgrzymów do Poczajowa, gdyż Poczajów daleko słynie z odpustów i cudów doznanych.

Drugiego dnia zaraz od rana zabraliśmy się wszyscy trzech i śpieszymy do świątyni Boga-Rodzicy, gdzie również z wielu innymi pokutnikami mieliśmy zamiar udania się do sakramentu Pokuty św. Skorośmy weszli za pierwszą bramę, jakaś okropność przeraziła nas, jak gdyby głos z nieba wołał: „Nie przystępuj tu, grzészniku, bo tu jest dom Królowej nieba i ziemi.“ Cały dziedziniec już był zaludniony. Tu widziałeś bogato przybranego w kontusz lub czamare szlachcica na kolanach klęczącego, obróconego twarzą do świątyni; tam znowu pobożna matrona. Tu kilku porządnym młodzieńców, synów obywatelskich, tam pięknie wystrojone panienki, tu grono wieśniaków i wieśniaczek, tam zaś kilkanaście mieszczan i mieszczanek; tu widziałeś dużo kalęk różnego rodzaju, czołgających się na krókwkach i szczudłach, a wszystko z obciążonym sumnieniem czołga się na kolanach ku progu świątyni. Tam zaś widziałeś kilka kobiet i mężczyzn krzyżem leżących na murawie, obróconych głowami do świątyni, a wszystko się korzy w obliczu Boga. Co za okropny widok? Jakaż tu jest różnica między niemi? Czemże

tu jest człowiek? Wszyscy tu sobie równi, wszyscy tu kornym czołem oddają hołd Najwyższemu, wszyscy kiedyś legną w grobie i cóż po nich zostanie? Zgnilizna! Duch tylko czysty zawezwanym zostanie przed trybunał sprawiedliwości Bożkiej, gdzie będzie zmuszony złożyć rachunek z doczesnego żywota, tam tedy wskazanem mu zostanie miejsce wieczności. A cóż my dalej?

Gdyśmy ujrzeni tyle pobożnych ludzi, jakaś okropność przeraziła mnie na wskroś, serce mi zadrżało; jakaś niewiedoma siła ciągnęła mnie dalej, jakby mnie kto nagiął, bym ukląkł. Tedy w największej pokorze zbliżam się ku świątyni, rzucam na kolana i kornym czołem uderzyłem o ziemię. Tam samo sunnienie zadrży na widok tego gmachu, w którym mieszka ta Królowa nieba i ziemi. Wtém dał się słyszeć dzwonek u świętych podwoi. Jeden z mieszkańców tego monastynu, czarno ubrany, takinże przepasany pasem, z długą czarną brodą powtórnie zaczął dzwonić. Ja z początku sądziłem, że to był żyd, bo miał brodę, albo karaim.

Sekta karaimów jest to gatunek żydów, ale innego wyznania; wierzą wprawdzie w Stary Zakon i są wyznania możeszowego; czynią obrzezanie, święcą szabas, ale nie jedzą mięsa koszerne, tylko tak żyją jak i katolicy, jedzą wieprzowinę, rozmaite ryby, mięsusa, węgorze, liny itp. Nawet często zatrudniają się jaką robotą w szabas, np. jésć gotują, wodę noszą, chodzą za interesami i t. p. Karaim więcéj się zbliża do religii katolickiej, modli się tym językiem, jakim mówi, żyje z chrześcijanami i nie ciérpi żydów. Prędzój chodzi do katolickiego kościoła, niż do żydowskiej synagogi. Wyznaje tylko jednego Boga, który stworzył niebo i ziemię i w nic więcéj nie wierzy. Karaim jest przebiegły i lubi spekulować, nawet szachruje jak żyd; łatwo oszukuje i jest stałym w swoich przedsięwzięciach. Jeżeli mówi prawdę, kładzie prawą rękę na serce, wtedy można mu wierzyć, bo on nigdy nie przysięga. A gdy co mówi, a śmieje się, wtedy mu nie można wierzyć, bo oszukuje cię. Otóż ich rabinowie nie zgadzają się w niczém z żydowskimi; jak się czasem jeden z drugim spotka, to obydwaj spluną na ziemię. Co to ma znaczyć? tego wiedzić nie mogę; i dla czego to czynią? nie wiem. Karaimowie mieszkają po różnych miasteczkach w państwie halickim, tak jak i żydzi, jednakże mają swoją stolicę o trzy mile od Lwowa, obok miasteczka Jaryczowa, która się nazywa Kukizów... Tam mają swój kościół i najwyższego rabina, bo inni rabinowie są jemu podlegli i od niego odbierają rozkazy w sprawach religii. W kościele mają jeden ołtarz i palą świece woskowe, lecz nic więcéj nie mają w ołtarzu, tylko dwie tablice możeszowe, tam gdzie u nas obraz być powinien. Turcy w tém miejscu mają księgę Alkoranu. Organów nie mają i nie śpięwają, tylko się każdy modli dla siebie. Sam rabin prawi im po polsku kazanie w szabas, a gdy tego nie ma, to im prawi *nuchem*, co znaczy niższy kapłan. Noszą się tak jak żydzi w halickim, prawie jeden strój mają: żupan, czapka, brzusiek, krótkie spodnie do kolan, pończochy i trzewiki, a przytém długą brodę i pas czarny kameleorowy.

Opisałem tedy sektę karaimów, słowem, jak o nich sądzą; są to żydzi tylko reformowani, którzy nie wierzą w żadne talmudy, ani w maset, ani tóż w zohar, ale za to bardzo szanują Pismo święte, czyli biblią.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozmaitości.

— *Olbrzymi szczupak.* Prazka gaz. opowiada, że w tych dniach pod miastem Chebem, w rzece tegoż nazwiska złowiono szczupaka ważącego 59 funtów. Co osobliwsza, w ciele téj olbrzymiej ryby znaleziono 13 haczków z wędek.

— *Półtora miliona łysych.* Z powodu śmierci ministra Nepala (Indje) Sir Junga Bahadur, zaszłej 25go lutego, przy którego pogrzebie spalono trzy żony zmarłego, rząd wydał rozkaz, aby wszyscy mężczyźni od las 7, na znak żałoby, golili przez rok cały głowy. Ponieważ w Nepalu znajduje się 1,500,000 mieszkańców płci męskiej, wielka radość z tego powodu zapanała pomiędzy narodem golarzy.

— Nie bez interesu zapewne będzie dla czytelników dowiedzić się o ilości ciężarów, jakie łód leżący na wodzie wytrzymać może. Oto szczegóły:

Łód na 1 cali i 8 linii gruby wytrzyma ciśnienie człowieka pojedynczego; — gruby na 3 cale i 9 linii, utrzyma przejście oddziału piechoty, jednakże trzeba zostawić odstępy między szeregi; — łód 5 cali 10 linii gruby wytrzyma dział 8 futowe na saniach; — 6 cali 8 linii wytrzyma dział polne na lawetach, z zaprzęgiem i zwykłym zapasem amunicji; łód mający 8 cali 4 linii grubości unosi 24 funtowe działo; — a 12 cali 4 linii największe już ciężary znieść może.

— Gosposie nasze podjęły wielki lament.

Podrobienie masła przez przekupniów, tak się obecnie rozpowszechniło, iż z wszystkich zapasów, sprzedawanych w sklepach i na różnych targach, wybrać i znaleźć masło, pozbawione obcych przymieszek, stało się rzeczą arcy trudną. Mowa tu o masle, tak zwanem solonem, którego przysposobienie odbywa się wśród lata, z przeznaczeniem na przechowanie na zimę.

Najpospolitszą w urabianiu tym przymieszkę stanowią tłuszcze, szczegółowo zaś łój wołowy, którego zastosowanie w téj formie zaprowadziły niektóre gospodarstwa wiejskie. Lecz dając początek powyższej produkcji, gospodarstwa te nie miały bynajmniej na celu fałszowania wyrobów mlecznych; fabrykacja masła sztucznego prowadzoną tam jest jako zupełnie oddzielną działalność gospodarstwa domowego, a nawet na ostatniej wystawie rolniczej warszawskiej, widzieliśmy masło sztuczne, doprowadzone do możliwej doskonałości z uwzględnieniem smaku, przedewszystkiem zaś warunków jakich zdrowie wymaga.

Nic zresztą nie mamy przeciwko użyciu masła sztucznego.

Wyrabianie jego na podstawach wyrozumowanych oparte, zastosowaniem zostało w celach ekonomicznych, ażeby dać klasie uboższej choć nie tak smaczną, jednak nie szkodliwą dla zdrowia, a tańszą okrasę i każdy z kupujących wie już z góry, że za tańsze pieniądze, lichszy tóż produkt kupuje.

Lecz inaczej się ma z masłem podrobianem i sprzedawanem jako produkt mleczny. Przy zimnej temperaturze i zmarznieniu masła nie łatwo je poznać na razie w smaku; spożywający w dobrej wierze płaci za nie jako za artykuł dobry i zdrowy, tymczasem dostaje mieszaninę nie tylko przykrą dla podniebienia, lecz jeszcze może nawet i szkodliwą dla zdrowia, gdyż dowolnie przez chciwego zysków handlarza przegotowaną.

Zwracając uwagę na fakt ten władzy czuwającej nad zdrowiem publicznem, w zastosowaniu tylko ścisłej kontroli nad wyrobami mlecznymi na targ dostarczaniem, widzimy najlepszy sposób zaradzenia podobnym nadużyciom.

Szarada.

Nasze to wody zasielają rzeki,
A bieg nasz zwykle szybki niedaleki;
Lecz kiedy głoskę jedną wtrącisz w trzecie,
Masz słynne inię, głośnie nawet w świecie.

Od Redakcyi.

Rozwiązanie Szarady z Nru 78go „Oświaty.“

— Szczepanowo —

Odgadli ją dobrze: Ks. Adamski z Góry i Antoni Nowicki z Stęszewa.